

6. Do chóru ich zapisać

Czas po kolacji często wypełniały przeróżnego charakteru rozmowy pomiędzy kursantami szkolenia oficerskiego, czasem zdarzały się pieprzne dowcipy, albo sentymentalne wspomnienia. Były to często opowieści rodzinne, bo niektórzy z nas mieli już żony i dzieci. Odbywało się to wszystko w naszej izbie koszarowej na piętrze i przeważnie zaczynało w wąskim gronie dwóch lub trzech osób. Po chwili jednak, kiedy wybuchał jakiś pierwszy śmiech lub sprzeczką, wyjściowe grono obrastało wianuszkami coraz to nowych kibiców. Pomimo niebezpieczeństwa kontroli łóżek przez chorążego Kąska, koledzy przysiadali na ich krawędziach, albo nawet wdrapywali się na posłania piętrowe i ci ostatni towarzyszyli szanownemu zgromadzeniu na leżąco.

Często bywałem zaczynem wieczornych zwierzeń okraszonych anegdotami a miałem ku temu pewną sprzyjającą okoliczność. Mianowicie, jak już gdzieś wcześniej wzmiankowałem - zamiast przysłowiowej buławy w plecaku - posiadałem przy sobie gruby, czarny brulion studencki. Przynajmniej połowa tego kajetu zapisana była (dość nieporządnie, bo z różnymi poprawkami, skreśleniami i uzupełnieniami) moimi zapiskami z estrady studenckiej. Tak więc prawie każdego wieczora mogłem w nim znaleźć pożywkę do „sprzedania” wojskowym kolegom jakiejś nowej anegdoty.

Pośród notatek w cytowanym brulionie znalazłem pewną wierszowaną zapowiedź estradową, która dziś mogłaby być spożytkowana jako świetna reklama przedsiębiorstwa pogrzebowego. Otóż przy głównej ulicy handlowej we Wrzeszczu i bardzo blisko Politechniki, nad witryną sklepową wisiał w drugiej połowie lat czterdziestych wielki, podłużny szyld takiej treści: „SKŁAD TRUMIEN INŻ. PERDION”

Studentów, jako przyszłych inżynierów, niezmiernie denerwowały nie tyle same trumny w pobliżu uczelni, co ich publiczne powiązanie ze słowem „inżynier”. Również i dziwnie brzmiące nazwisko właściciela zakładu, sprzyjało dowcipkowaniu. Dlatego też na szybę sklepu naklejano uszczypliwe uwagi, natomiast w środowisku studenckim krążyły na temat szyldu najprzeróżniejsze kawały.

Na naszej estradzie, która częściowo miewała walor kabaretowy, nie można było pominąć tak popularnego i denerwującego środowisko, tematu. Stąd, pewnego wieczoru forsowałem ze sceny taki oto anons reklamowy:

„Szczęście po ślubie, to młoda żona.

Szczęście po śmierci, trumna od Perdiona.”

Innym razem w koszarowej izbie zacząłem się chwalić sukcesami założonego przeze mnie, najprawdopodobniej pod koniec 1947 roku, stuosobowego chóru męskiego Politechniki Gdańskiej: *„Ten stuosobowy chór, to potęga, panowie!”* – dumnie oznajmiałem kolegom już w pierwszych zdaniach, kiedy oni - przerywając moje samochwalstwo - pytali: *„A jak do tego doszło? Skąd sam pomysł, przecież to niełatwa sprawa skrzyknąć tylu chłopów?”* *„U nas nie ma tak wielkiego chóru. Jest znacznie skromniejszy i mieszany”* – wtrącił się ktoś inny.

Zacząłem więc od Annasza! Kursanci dowiedzieli się, że już od czasów gimnazjalnych śpiewałem w wielogłosowym chórze szkolnym, prowadzonym przez znakomitego pianistę i mistrza organów, profesora Janusza Kazimierczaka. Następnie, w czasie okupacji uczestniczyłem w podobnym chórze, który istniał przy kościele poklasztornym. Był to wówczas w Sierpcu jedyny kościół katolicki, którego Niemcy nie zamknęli. Lubiłem to śpiewanie a w szczególności pieśni religijne w wersji łacińskiej, chociaż nie wszystkie słowa podpisane pod nutami rozumiałem. W połączeniu z głosem organów utwory te odczuwałem jako szczególnie nośne i atrakcyjne dla ucha.

Od tamtego czasu pozostała we mnie tęsknota do chóralnego śpiewania na głosy. Ubolewałem nad tym, że na Politechnice - gdzie studiuje przecież parę tysięcy mężczyzn - nie ma wielkiego, męskiego chóru, w którym i ja mógłbym śpiewać. Nie występowałem jednak z inicjatywą dopóty, dopóki nie zostałem wiceprezesem Bratniej Pomocy do spraw kultury i nie uzyskałem przez to pewnych organizacyjnych i finansowych możliwości kreowania nowych bytów na tym polu. Bo trzeba było przecież zatrudnić jakiegoś przyzwoitego dyrygenta, powiełać setki egzemplarzy nut, zapewnić pianistów do wstępnego, osobnego ćwiczenia w poszczególnych grupach głosowych, zagwarantować pomieszczenia dla prób itd. Bezpośrednią iskierką do rzeczywistego uruchomienia inicjatywy powołania chóru stało się przypadkowe i dość

zabawne wydarzenie harcerskie. Mianowicie, idąc kiedyś w Sopocie nadmorską promenadą w kierunku Jelitkowa, usłyszałem z daleka harcerskie śpiewanie. Kiedy się zbliżyłem - a sprawy harcerskie, jak wiadomo, zawsze mnie frapowały - zobaczyłem na plaży tłumek postaci otaczających szczerp harcerzy siedzących wokół niewielkiego ogniska. Zatrzymałem się, wtopiłem w grono gapiów i obserwowałem przebieg imprezy. Harcerze byli doskonałe, jednolicie umundurowani i wszystko wskazywało na to, że przybyli na Wybrzeże gdzieś z Polski (bodaj z Zamościa, o ile zdołałem zapamiętać ich naszywki na rękawach). Nieźle też śpiewali przy gitarze i mogłem być dumny, że jestem instruktorem ich organizacji. Były tu trzy drużyny oraz gromada zuchowa, wywodząca się z pierwszych klas podstawówki.

Program ogniska nie zawierał nic szczególnie oryginalnego. Były więc tradycyjne pieśni, scenki para-teatralne i humorystyczne okrzyki, były też tzw. pląsy zuchowe, czyli zabawy ruchowe z piosenką. W pewnym momencie, po występie drużyny harcerek, harcerze zakrzyknęli: „Do du..., do du..., do dużej uprawy doszły!...” I to było w porządku, mieściło się - jako dwuznacznik - w konwencji ogniskowej dorastającej młodzieży.

Potem jednak nastąpiło coś, co mnie zbulwersowało do cna. Mianowicie, po odśpiewaniu jakiejś piosenki przez dryblasów z drużyny męskiej, odezwały się z okrzykiem nie jakieś dowcipne, dorastające panny, lecz dziewczyneczki w berecikach z gromady zuchowej. Te - zapewne absolutnie nie rozumiejąc dwuznaczności tekstu - piskliwymi głosikami wykrzykiwały na całe gardło: „Do chó..., do chó..., do chóru ich zapisać!...”

Byłem śmiertelnie oburzony na instruktorów, którzy dopuścili do takiego skandalu i to w obecności postronnych widzów, pewnie w większości rodziców harcerzy. Opuściłem z niesmakiem to przypadkowo spotkane ognisko. Nie mniej jednak, dziecięce hasło : „Do chóru ich zapisać!”, zagnieździło się jakoś w mojej głowie na tyle, że dało asumpt do omal natychmiastowego wywieśzenia przy wszystkich dziekanatach Politechniki ogłoszenia o zapisach do „STUOSOBOWEGO CHÓRU MĘSKIEGO POLITECHNIKI GDAŃSKIEJ”.

Z naborem nie miałem najmniejszych trudności tym bardziej, że studenci zaangażowani w „pracach na rzecz Bratniej Pomocy” (tak to się nazywało) uzyskiwali jakieś przywileje stołówkowe.

Szybko znaleźliśmy znakomitego dyrygenta, który - jako student Wyższej Szkoły Muzycznej - traktował pracę z nami jako społeczną misję i swój dyrygencki poligon przeddyplomowy.

Zaczęły się pracowite próby, choć prawie wszyscy członkowie znali nuty, bo albo grywali na instrumentach, albo wcześniej - podobnie jak ja - śpiewali w innych chórach. Bardzo szybko nasz chór zaczął występować na prowadzonej przeze mnie estradzie akademickiej i bardzo lubiłem, kiedy stawał się nieodzownym, wartościowym i jednocześnie jakże kontrastowym elementem programów. Każdemu reżyserowi podoba się możliwość korzystania ze zróżnicowanych składników repertuarowych, wobec czego i mnie dysponowanie tak potężnym chórem było na rękę. Kontrast sceniczny polegał przede wszystkim na powadze repertuaru chóru w stosunku do ogólnej lekkości, a nawet frywolności, niektórych naszych składanek. Również kolosalny efekt wywoływało przeciwstawienie tej masy ludzi solistom, kilkusobowej orkiestrze lub chórkom rewelersów. Stuosobowy chór przeważnie nie mieścił się na bratniackiej scenie i występował - by rzec elegancko - na „proscenium”, czyli na podłodze przed sceną.



Czerwiec 1949. „Stuosobowy, męski chór PG” podczas ostatniej próby w Teatrze „Wybrzeże” w Gdańsku. Fot. ze zbiorów dyrygenta, Zb. Chwedczuka, w książce „Życie studenckie na Politechnice Gdańskiej”, Gdańsk 2005, w wywiadzie z J. Chojnackim pt: „Okruchy zdarzeń”. Na górze znaczek Bratniej Pomocy Studentów PG, który członkowie chóru mają również na marynarkach. Strzałkami pokazano członków orkiestry ulokowanej w tym momencie za chórem.